

WYPRAWA ZA OCEAN – WENEZUELA!

Na festiwalu w Turcji Maryla Szupiluk okryła swoim swetrem dygoczącą z zimna Marię-Fernandę. Ta – być może z wdzięczności - zaprosiła nas do siebie, do Guayany na międzynarodowy festiwal. Być w Ameryce Południowej! Czy będzie nas na to stać? Udało się!

Polecieliśmy świetnymi liniami holenderskimi KLM, z przesiadką w Amsterdamie, oczywiście. Lotnisko tamtejsze przeogromne. Choć miałam za sobą około 30 lotów, jednak Amsterdam zrobił na mnie duże wrażenie. Przelot przez Atlantyk. - *Marylko, nie myśl co jest pod nami, nie myśl o tej wodzie* - Krzysztof uspokajał żonę, tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, co jest pod nami w razie... Lot trwał 9 godzin. Rano pod nami cukierkowo-niebieskie Morze Karaibskie i dość okropne zabudowania. Port lotniczy w Caracas - nieskończona betonowa budowla. Wszędzie pełno żołnierzy z karabinami. Po wyjściu z budynku buchnął na nas żar z pieca chlebowego pomieszany z łaźnią parową. Do tego bardzo intensywne zapachy owoców, wilgoci, brudu. Czekaliśmy na nas konsul RP. Mieliśmy z marszu zakontraktowany koncert dla ambasadora RP na przyjęciu dla Polonii. W zamian ambasada miała nas podjąć kolacją. Daliśmy koncert nieumyć, tańczyliśmy na marmurowej podłodze. W zamian poczęstowano nas sokiem i kieliszkiem wina. Na kolację mieliśmy pojechać do McDonalda i zapłacić za nią sami. - *Pani dyrektor festiwalu zwróci wam pieniądze* - zapewniał nas pan konsul, co oczywiście się nie sprawdziło. Ponieważ nasze telefony komórkowe nie miały łączności z Polską, prosiliśmy konsula, aby zadzwonił do Gorzowa i poinformował, że dolecieliśmy szczęśliwie. Dopiero po trzech dniach zdenerwowane rodziny dowiedziały się, że jesteśmy cali. Tak więc polska służba dyplomatyczna po raz kolejny w naszych doświadczeniach okazała się marna i nieuczciwa.

Po takiej kolacji dalej w drogę, autobusem 800 km na południe do miejsca przeznaczenia. - *Ubiierzcie się ciepło do autobusu, bo jest klimatyzacja* - ostrzegano nas. Jak może być zimno w autobusie, skoro na powietrzu jest 40 st. C? Mimo to dziewczyny wyjęły łowickie wełniane zapaski i wygrały. A my, dorośli, trzymaliśmy zęby, żeby nie wypadły ze szczękania. Na każdym postoju wpadaliśmy w rozpalony piec i z powrotem do lodówki, bo w autobusie było tylko 16 st. C. Jechaliśmy 10 godzin, przez całą Wenezuelę, aż nad rzekę Orinoko. Szalona jazda, szalony kierowca i świetne drogi.

Na dziedzińcu szkoły, która nas gościła, rosły olbrzymie drzewa mango i mandarynki. Nikt tu nie zbierał owoców. Szkoła bez okien, tylko otwory. Młodzież zamieszkała u rodzin, na ogół zamożnych, z własnymi domami. Optywały nasze dzieci w dostatki i rozrywki. My, dorośli, mieszkaliśmy w hotelu. Zmarnowaliśmy tam mnóstwo czasu zamiast zwiedzać. Cechą charakterystyczną południowców jest nie spieszyć się. Stynne mañana. Ciągłe czekaliśmy: to na tłumacza, to na zespół gospodarzy, to na rozpoczęcie koncertu. Nikt nigdy nie wiedział, co będzie i o której godzinie. Tresowaliśmy naszego tłumacza Marco tak, że gdy wyjeżdżaliśmy, twierdził, że jest innym człowiekiem.

Festiwal jak każdy: dużo koncertów, młodzież z różnych krajów. Tyle, że w każdym mieście stał pomnik Simona Bolívara, twórcy wolnych krajów Ameryki Łacińskiej, więc my: kwiaty i pokłony przed każdym pomnikiem.

Kościół też nie mają górnych części ścian. Ptaki przelatują, zostawiają na ławkach to, co ptaki zostawiają. A są tak bardzo kolorowe! Symbolem Wenezueli jest tukan. Rzeka Orinoko jest przeogromna i mętna, motyle są wielkości ptaków, a dżungli nie da się opisać. Ulewa tropikalna to ściana wody, po niej natychmiast pełne słońce i za moment wszystko znów suche. Wszędzie są tamtejsze kwiaty o barwach nam kojarzących się z kolorową bibułą.



Z Wenezuellką w tradycyjnym kostiumie karnawałowym, El Callao, 1999



Nowe banknoty wenezuelskie z portretami „Małych Gorzowiaków”. Wenezuela, 1999



Wenezuela - Bolívar, 1999. Z papugą prosto z dżungli

W dużym mieście na ulicach krzewy i drzewa jak bukiety (a miasto ma 1,3 mln mieszkańców). Właśnie mieszkańcy: niscy, smagli, dość krępi. Dziewczyny cud, ale panie bardzo przysadziste. Choć jak zacząć tańczyć swoje horoppo i salsę, to aż wierzyć się nie chce, że z taką wagą... Panowie... no cóż, mają piękne oczy i włosy.

Jeść nam dawali dużo i rozmaicie, np. pełną szklanekę kostek lodu zalaną rzadką zimną kaszą manną albo placek wyglądający jak szarlotka, tyle że zamiast jabłek mięso z ryby albo z żółwia. No i wszechobecna wołowina w postaci podeszwy. Także jukka pieczona, banany pieczone i różne nieznanne owoce.

Zawieziono nas do El Callao - miasta złota i callipso (taki taniec). 90% jego mieszkańców to bardzo ciemnoskórzy potomkowie z Trynidadu. Prowadzono nas na stadion przy dźwięku ogłuszających bębnów. Całe miasto wyległo i witało nas hałaśliwie na tym stadionie. A tam o mało żywcem nie zżarły nas muszki puri-puri (wielkości kropki). Czysty obłęd! Po powrocie znowu - młodzież do rodzin, które obsypały ich złotymi podarkami, a my do hotelu i sami z sobą.

Na koncert finałowy przyjechał pan ambasador, zaprosił nas - dorosłych - na kolację o 1.00 w nocy do luksusowej restauracji, po czym zostawił, bo okazało się, że nie ma pieniędzy i musi szukać bankomatu. Na szczęście my byliśmy ponad to. Humory nam dopisywały. Np. Marylka zapragnęła zjeść jajko i nijak nie mogła znaleźć go w sklepie. Zatem przy kasie odbył się swoisty spektakl. Po wyczerpaniu wszystkich znanych języków obcych i gier mimicznych, dopiero donośne „ko, ko, ko” i machanie „skrzydłami” oraz wysitek ze stęknięciem jak przy znoszeniu jajka, dało oczekiwany rezultat. Ja z Krzyśkiem leżałam przed sklepem ze śmiechu. A więc cóż nam pan ambasador ze swoim złym zachowaniem!

Trafiła się też miłość. Carlos zakochał się w Ewie z wzajemnością. Całowali się i przytulali, pani dyrektor festiwalu szalata z wściekłości, że to nieobyczajne. A tu po roku, proszę, Carlos przyjechał do Gorzowa i zabrał Ewę. Dziś mają już dziecko i są bardzo szczęśliwym małżeństwem. Tak to czasem egzotyczna podróż staje się dla kogoś wymarzoną życiową celem.

Mimo strachu przed chorobami i żołnierzami, mimo wołowej podeszwy, był to niezapomniany wyjazd. Nasze dzieci są tak piękne w strojach ludowych. Takie inne.

Straciliśmy, niestety, okazję zobaczenia Salto Angel - największego wodospadu świata, mimo że byliśmy o krok. Pozostały niezwykle wrażenia, a ja do dziś mam żółwia, który nosi imię Maria-Fernanda. Tak jak dyrektorka festiwalu.

Lidia Przybyłowicz

FESTIWAL W EGIPCIE – ISMAILIA, SIERPIEŃ 2000 R.

Po raz pierwszy do Afryki przez Moskwę zespół poleciał samolotem rosyjskich linii lotniczych. Być może nie byłoby w tym nic atrakcyjnego, ale już więcej nie chcę lecieć ciasnym i dusznym TU 154 E. Niechęci do rosyjskich linii lotniczych dopełniły problemy, które mieliśmy na lotnisku w Kairze i gdyby nie interwencja polskiego MSZ-tu, nie wiadomo kiedy wylecielibyśmy do kraju. Pozytywnym było to, że w drodze powrotnej musieliśmy zostać dzień w Moskwie i dzięki temu zwiedziliśmy tę wyjątkową stolicę. Rozczarowanie przeżył jeden z tancerzy, który obudził się w hotelu zbyt późno, aby pojechać z nami do centrum. Żadnymi sposobami ani my, ani etażowa nie mogliśmy go dobudzić. Spał jak kamień.

Z lotniska w Kairze odebrali nas organizatorzy. Pod silną eskortą policji tu-